



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

B Z Y.

Przy naszej chacie, zwite w barwne pęki,
Kwitną przesłiczne bzy jasno-liliowe,
A na nich ptactwo snuje swe piosenki,
Gdy z za chmur słońce wychyli swą głowę.
Wietrzyk z dąbrowy ciepłem tchnieniem wionie,
Lekkie gałązki figlarnie kołysze,
Roznosi czyste i świeże bzów wonie,
Raduje ptaszki, co zbudziły ciszę.
Na bzu kwiateczkach lśni srebrzysta rosa,
Która wypija promień słońca złoty,
Gdy wschodzi zorza na jasne niebiosy,
I kładzie blaski na liliowe sploty.
Miłości bratniej — symbolem bzu kwiaty,
Natura niemi wiosną nas obdarza,
One radością naszej skromnej chaty,
W Maju ozdoba Maryi ołtarza!

Władysław Karoli.



Na Bielanach,

przez Z. MORAWSKĄ.

(Dokończenie).

— Zapominasz, że nawet Zeus przybierał na siebie rozmaite postacie i schodził między śmiertelnych — przerwał mu Stanisław August. — Zresztą, powinieneś być nawet zadowolony z tego projektu. Urzeczywistnienie onego da ci temat do napisania ody — dodał.

Trembecki zrobił minę pokorną, drugi zaś ulubieniec króla, generał Konarzewski, rzekł, zbliżając się z ukłonem:

— Jeżeli jego królewska mość zaszczyci mnie swą łaską, sądzę, iż mundur mój i płaszcz byłyby stosownem przebraniem.

— Ale ty pozbawisz się przyjemności przechadzki... — rzekł znów wahająco król.

— Oh, miłościwy panie! — odparł z głębokim ukłonem Konarzewski.

To mówiąc, odchylił z jednej strony płótno namiotu i wskazał część jego ustronną.

Król, nie namyślając się, wszedł za zasłonę, Konarzewski za nim i wkrótce Stanisław August, trzymając w prawej ręce białe rękawiczki, ukazał się w mundurze swego ulubieńca.

— *Allons*, używajmy swobody — rzekł wesoło.

Całe towarzystwo wysunęło się za królem.

— Będziemy przeglądali w kramach towary! — zawołała rozbawiona pani Potocka.

— Czy tylko będziemy mieli czem zapłacić — odezwał się król. I zaraz dodał:

— Damy nie noszą przy sobie pieniędzy, a kieszenie tego poczciwca Konarzewskiego prócz płótna nic więcej pewnie nie zawierają.

— To nic, przecież ktoś z dworu nosi przy sobie sakiewkę — odrzekła pani Potocka.



— Tylko nie zdradź się, nazywając mnie zwykłym mianem — rzekł król do swej towarzyszki.

— O, niech się jego królewska mość nie lęka, jeżeli otrzymam jego zezwolenie, nazywać go będę kuzynem.

— Dobrze, wszakże jesteście cioteczni — odparł król z uśmiechem.

I wśród tej rozmowy zbliżyli się do jakiegoś kramu, gdzie pani Potocka kupiła bicz koralu a król jakąś spinkę, na których kupno ktoś z otoczenia podsunął sakiewkę.

Śmiejąc się i rozmawiając, zbliżyli się do kramu Macieja Gliniaka, gdzie na trawie porozstawiane były garnuszki, misy i miseczki pośledniejszego gatunku, na stolikach zaś stały dzbany polewane, między którymi odznaczał się misternie wyrobiony dzban Marka.

— Muszę kupić parę garnuszków! — zawołała z dziecięcą wesołością pani Potocka, zbliżając się do rozstawionego kramu.

— Co za przepyszny wyrób! — rzekł jej towarzysz, przypatrując się znanemu nam już dzbanowi Marka. Cóż to za delikatny rysunek, jaka myśl! — mówił dalej, oglądając dzban, podany mu przez zarumienionego Marka.

— Gdzież jest artysta i w jakiej fabryce dzban ten wyrobiono? — zapytał.

— Wypalono go w mojej garncarni przy ulicy Piwnej, ozdobił go zaś mój syn, ten oto wyrostek — odrzekł pan Maciej, wskazując na stojącego ze spuszczonei oczami chłopca. Nagle jednak pan majster uciał. Spojrzał na pytającego, zaczerwienił się po uszy i przybrał jeszcze więcej ugrzecznością i pełną uszanowania postawę.

— Ależ to jakiś nowożytny *Palissy*! — zawołał Stanisław August. — Nie możemy go tak zostawić, trzeba go dalej kształcić, może być z niego chluba dla naszej sztuki — mówił dalej, zapominając w swem uniesieniu artystycznym o przybranem incognito.

Lecz pani Potocka, pamiętna na swoje przyrzeczenie, spojrzała na niego znacząco i rzekła:

— Podobno król lubi wspierać talenta, gdyby się dowiedział o takim młodzieńskim artyście, z pewnością kazałby się zająć jego losem.

— Ale do tego trzeba wielkiej promocji, a my, mój kuzynie, nie znamy nikogo, ktoby był przy dworze — dodała, dając wciąż znaki porozumienia królowi.

Lecz ten był tak zajęty oglądaniem najmniejszych szczegółów w dzbanie i przypatrywaniem się mniejszym pracom Marka, rozstawionym na stoliku, że nie zwrócił nawet uwagi na słowa swej towarzyszki.

Zaś Maciej Gliniarz uśmiechnął się tylko i rzekł z głębokim ukłonem.

— Lepszej i pewniejszej protekcji syn mój chyba nie znajdzie.

Lecz król i na to nie zwrócił uwagi, tylko otaczającym tłumaczył myśl zawartą w ozdobach dzbana.

— I robota misterna i postać wspaniała.

— Boć chyba ze dwa garnce dzban trzyma bez mała — wygłosił do wiersza Trembecki.

— Jest i madrygał na prędce! — zawołał król. — Tylko przesadzasz jego objętość.

— Idę o zakład, iż tyle nie trzyma — rzekł ktoś z otoczenia.

— Trzymam zakład — odparł Trembecki.

— Można zmierzyć — ozwała się stojąca opodal Marychna.

I podała ojeu przywiezione butelki miodu.

— Wybornie, nietylko zakład będzie rozegrany, ale i poczęstunek mieć będziemy! — zawołała pani Potocka, lubująca się we wszelkiej oryginalności.

Pan Maciej tymczasem do wytartego przez Marychnę dzbana wlewał miód złoty.

— Nie wszystko się zmieściło, a każda trzyma pół

garnca — rzekł Gliniarz, pokazując pod światło do połowy wypróżnioną butelkę, w której płynie zamigotały złote blaski.

Lecz w tej chwili nikt nie zwrócił na to uwagi, bo król rzekł:

— Możemy zaraz spełnić zdrowie młodego artysty.

— Zaczynaj kuzynko — dodał, biorąc dzban z rąk uszczęśliwionego pana Macieja i podając go pani Potockiej.

Ta, przyznać należy, pociągnęła porządny haust i oddała go królowi.

— Niech i inne damy piją! — rzekł tenże.

Damy maczały usta lub połykały słodki napój. Wreszcie król przyjął podany sobie dzban.

— Za pomyślność twojej karyery, mały artysto! — rzekł król, spoglądając na potulnie stojącego Marka.

Że zaś nigdy miodu nie pijał, przytknął tylko dzban do ust z zamiarem oddania go dalej.

Lecz czy urok wiosny, czy pragnienie i dobry humor, czy też woń owego miodu była tak nęcąca, dość, że ku zdziwieniu ogółu, wziął łyk jeden i drugi i oddając go komuś z otoczenia, zawołał:

— Cóż za przepyszny napój! U waćpana śnać wszystko w najprzedniejszym gatunku! — dodał.

Pan Maciej skłonił się do ziemi, a w oczach jego aż lzy radości zaświeciły.

— A może ichmość państwo spróbują piernika! — ozwała się słodszy od samego piernika głosem pani Maciejowa.

I pokrajany piernik postawiła z otwartym łubkiem.

— Moja Marychna go piekła! — dodała.

Pani Ignacowa sięgnęła zaraz po kawałek, za nią poszły inne panie. Sięgnął i król, jakby przez ceremonię, a trzymając go w białej dłoni, mówił rozbawionym, pełnym wesołości głosem:

— Bierzcie, bierzcie państwo, nie prędko nam się taka gratka zdarzy!

— Co za piernik! co za piernik! — wołała pani Potocka, topiąc w nim białe ząbki.

I czy rzeczywiście poczęstunek pana Macieja był tak smakowity, czy świeże powietrze, swoboda i dobry humor tak podziały, dość, że i król pochwalił przysmak. Wkrótce też zniknął piernik z łubka, a Trembecki wysączywszy ostatnią kroplę miodu na paznokieć ze dzbana, rzekł:

— Byłby to brak czci a i *crimen* wielki,

Gdybym zeń nie wysączył ostatniej kropelki!

Lecz król nie zwrócił uwagi na ten rym swego poehlebcy, nikt też z otoczenia mimo zachowanego incognito, nie śmiał podnieść jego wyrazów.

Przeszły bez wrażenia, bo Gliniarz ukląkłszy, zawołał:

— Niech mi będzie wolno wypić na podziękowanie i za zdrowie dostojnych gości.

To mówiąc, wychylił resztę miodu z butelki.

Wtem przechodzący, ujrzawszy strojnych i niezwykle dystyngowanych gości przy straganie Gliniarza, zaczęli się coraz więcej cisnąć ku niemu.

Pani Ignacowa zaś, namówiwszy do tej przechadzki swego dostojnego kuzyna, wzięła na siebie niejako obowiązek czuwania nad nim. Wsunęła więc rękę pod jego ramię i rzekła:

— Zakupiliśmy już wszystko, wracajmy. Pan majster odeśle nam towar!

Król dał się pociągnąć, skinął głową uszczęśliwionemu garncarzowi i rzekł do Marka:

— Zobaczmy się jeszcze, młody artysto.

Pan Maciej obociaż odrazu poznał króla, nie zdradził się z tem ani przed oblegającymi teraz tłumnie jego stragan, ani nawet przed własną rodziną. Ukrył tylko dzban oraz drobne wyroby Marka przed okiem ciekawych, a pani Maciejowa sprząając okruszyny piernika, o dziwo, nie gderała według swego zwyczaju, poprawiała tylko co chwi-

*) *Palissy*, artysta z XVI w. we Francji, nadał on nowy kierunek przyozdabiania naczyń glinianych i szklanych.

la zbakierowany czepiec i spoglądała przyjaźnie rozradowanemu obliczem.

Król zaś odjeżdżając z Bielan w swojej kolasie, mówił z uśmiechem:

— Doskonałe ma pomysły nieoszaczowana pani Potocka; udało nam się incognito i upolowaliśmy artystę!

— Co za artysta! — powtarzał.

Słońce, rzucając ostatnie blaski, złoćło drogę przed odjeżdżającymi a tak rozbawionymi gośćmi z Bielan.

Złoćło drogę, zawisło na szczytach drzew, aż krwawym blaskiem skąpało wieżycę kościołów Warszawy.

Na drugi dzień Marek w towarzystwie ojca przyniósł do zamku królewskiego dzban i drobne swoje wyroby i został przez monarchę bardzo łaskawie przyjęty.

Pani Maciejowa chciała na gwałt piec piernik i przesłać go również do zamku, lecz małżonek wyperswadował jej tę hojność.

— Taki chociaż później postawię na swoim! — mówiła niewiasta.

Czy posłała piernik, nie wiemy, to tylko pewne, że wkrótce potem król swoim kosztem wysłał Marka do Francji.

— Wyuczysz się, rozwiniesz talent, nabierzesz smaku, a za powrotem staniesz na czele nowo utworzonych fabryk porcelany — rzekł król doń na pożegnanie.

— Z łaski jego królewskiej mości! — odrzekł chłopiec, kłaniając się dwornie.

I długie tam bawił lata i talent swój rzeczywiście rozwinął, lecz za powrotem fabryki, w którejby mógł pracować, nie zastał.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Jak Suchów pójdzie z ogniem to go i te sto dziewięćdziesiąt pięć rubli nie odbuduje! — krzyknęła jedna z cygarek, a oczy jej w świetle księżycy tak zabłyśły, jak gdyby się był w nich odbił blask owego pożaru, którym groziła.

Nareszcie skończyła się ta przykra i uciążliwa pielgrzymka. Las się przerzedzał, a przez drzewa prześwytawać zaczęło białe od promieni księżycowych pole. Na skraju lasu odbyła się jeszcze jedna scena próśb, molestacji, natarczywych błagań, a potem przekleństw i gróźb cygarek. Pan Chlewiatko nie odpowiedział na nie ani jednym słowem, lecz gdy już byli w czystym polu, pozwolił kobietom odejść, gdzie chciały, a potem śledził je oczami, dopóki nie znikły. Wtedy spiesźnie, wraz ze Zdzissem wrócili do domu.

Było już około trzeciej po północy, gdy się znaleźli przed gankiem i niepomału się zdziwili, gdy na odgłos dzwonka drzwi wchodowych, który odzywał się w kredensie, zamiast lokaja wybiegli oboje państwo Zabrzescy i Zosia.

Pani Zabrzaska złożyła ręce jak do modlitwy.

— A, chwała Bogu! — zawołała. — Pan wraca cały i zdrow! Czuwaliśmy, czekając na pana! Tak nas to przeraziło, że pan z rewolwerem po nocy gdzieś poszedł! Co to, Zdzis? I Zdzis panu towarzyszył? Ach, moje dziecko, w noc tak zimną! Byłeś tyle godzin za domem tylko w tej sukiennej bluzie!

— Co to znaczy? — rzekł pan Zabrzesci. — Łuk na

plecach i kindżał, i moja laska ze sztyletem! Cóż to była za wyprawa?

— Przepraszam tatuńcia... — zaczął Zdzis.

Pan Chlewiatko przerwał surowo:

— Zawsz tu Zdzisia państwu odeśle, ale muszę go na chwilę wziąć do mego pokoju.

Profesor był tak poważny i tak niepodobny do tego, czem bywał zwykle, że państwo Zabrzescy spojrzeli na siebie zdziwieni.

— Rewolwer oddaję panu z podziękowaniem.

Pan Zabrzesci obejrzał broń.

— Jeden nabój wystrzelony! Więc rewolwer był potrzebny służyć do jakiejś obrony, czy walki!

Pan Chlewiatko pociągnął Zdzisia za sobą do swego pokoju, a zamknąwszy drzwi, ozwał się:

— Jutro będziesz odpowiadał za swój postępek niegodny uczciwego chłopca. Uratowałeś mi może życie, a może uratowałeś tylko pieniądze Michała, które bez twojej pomocy i przytomności umysłu byłyby z pewnością napowrót zrabowane. Niemniej jednak zmartwiłeś mię głęboko swoim uczynkiem, i gdy jeszcze wczoraj słowo twemu byłbym uwierzył święcie, dziś wątpię, czy ono wystarczy. Niebardzo już ufam twemu honorowi...

Zdzis jęknął pod tym zarzutem.

— Słuchaj, nie masz prawa ani słówka pisnąć nikomu o tem, coś widział i słyszał dzisiejszej nocy.

— Daję...

— Nie dawaj słowa! Straciłeś wszelkie tytuły do mego zaufania. Pamiętaj tylko, że miałbyś ze mną do czynienia, gdyby się ktokolwiek dowiedział, jaki był cel mojej dzisiejszej wyprawy. A teraz idź spać, i przykryj się dobrze, żebyś matki swej jaką chorobą nie przestraszył. To jeszcze szczęście, iż nie dostrzegła twej nieobecności. Wyobraź sobie, jakby była niespokojna!

Zdzis z pokorą i żalem powiedział dobranoc profesorowi, drżący i nieśmiały wszedł do pokoju ojca.

Pan Zabrzesci otworzył ramiona i uściskał Zdzisia.

— Dobry i pełen odwagi z ciebie chłopiec! — ozwał się głośno, bez obawy obudzenia Józia, który sypiał tak twardo, że nawet wystrzały armatnie ani grzmoty i pioruny nie były w stanie go poruszyć, budzono go też, stawiając śpiącego na ziemi i oblewając zimną wodą.

Zdzis do ręki ojca przycisnął usta.

— Domyślam się wszystko — ciągnął dalej pan Zabrzesci. — Nie spałeś, gdyśmy tu wczoraj weszli z profesorem i niepokój o niego sprawił, żeś za nim pobiegł, a nie chciałeś nam swego zamiaru wyjawić, żeby nie przerażać mamy.

Zdzis zaszlochał cicho, obejmując wysoką postać ojca ramionami i na jego kamizelkę wylewając łzy żalu i skruchy.

— Ja nie byłem taki dobry jak tatuńcio sądzi, ja to zrobiłem nie z niepokoju o pana profesora, ale przez prostą ciekawość, przez chęć zobaczenia czegoś nowego... przez chęć popełnienia nieposłuszeństwa... jak Ewa, której się zachciało zakazanego jabłka... postąpiłem jak oszust i zdrajca, bo pod kołdrę położyłem lalkę, mającą tatuńcia oszukać, zaś pana profesora śledziłem jak zdrajca, szedłem za nim jak złodziej!

— I czyniąc to wszystko, zdawałeś sobie dokładnie sprawę, z tego, że postępujesz podle?

— Z początku nie, bo mię paliła taka ochota należeć do czegoś nadzwyczajnego, taka ciekawość niepochochamana, że nie czułem całej mojej nikczemności, ale potem zrozumiałem wszystko, ale takie były okoliczności, że nie mogłem się już cofnąć. Dobrze jeszcze, że mi nie przyszło na myśl, że mamuleczka mogła była zajrzeć do nas, by zobaczyć, czy nie mamy gorących głów. Wtedy to nie wiem, coby się było ze mną stało...

— Byłbyś wrócił do domu.

— Nie byłbym mógł. Byłbym błędził i nie byłbym znalazł drogi. I jeszcze tatuńciu... mnie się tylko zdawało, że jestem bardzo odważny, a ja drżałem i bałem się... byłem tchórzem!

Znowu żałośnie szlochać zaczął.

— I twoje tchórzostwo stało się powodem jakiego...

— Nie, nie, ale ja nie mogę nic powiedzieć!

— Dla czego?

— Bo pan profesor kazał mi przysiąc zupełne milczenie.

— Gdzieżście wy byli?

— I tego powiedzieć nie mogę.

— Więc ty byłeś świadkiem wszystkiego i wiesz gdzie jeden nabój rewolwerowy wystrzelony został?

— Wiem, ale powiedzieć nawet samemu tatuńcowi nie mogę.

— Jeżeli jesteś związany słowem, to naturalnie, że musisz milczeć jak grób! Umiejętność zachowania tajemnicy jest cnotą konieczną i bez tej umiejętności ani prawdziwego przyjaciela, ani prawdziwego mężczyzny nie ma!

Zdzisia język świerzbiał okrutnie, żeby ojcu opowiedzieć, z jaką przytomnością unysłu wyjął z kieszeni pana Chlewiatki rewolwer i strzelił z niego koło ucha cyganki, uciskającej jak w kleszczach gardło profesora, który już miał płachtę zarzuconą na głowę. Zdzis był trochę chwalebny, a tu przecie miał czem się pochwalić. Ale język zagryzł mocno zębami, co bardzo w takich razach pomaga.

— Więc czujesz, żeś uczynił źle — rzekł pan Zabrzeski — i żałujesz za swój postępek?

— Żałuję, żeś był nieposłuszny i żeś się przez jakieś pół godziny czuł ogromnym tchórzem, ale taki jestem zły, że nie żałuję żeś to zrobił.

— I drugi raz tak samo znowubys postąpił.

Zdziś pomyślał chwilę.

— Nie, nie tatuńciu, drugi raz już bym tak nie zrobił! Czuję, że potrafiłbym zwalczyć swoją ciekawość i chęć do przygód, która mię przesładuje.

— Więc idź spać, moje dziecko i pamiętaj, co ci w tej chwili powiem: uczyniłeś bardzo źle, chciałeś mię oszukać, pozostawiając na łóżku lalkę, zamiast siebie; byłeś nieposłuszny i to nie przez chęć ratowania najlepszego przyjaciela, ale przez prostą, głupią ciekawość; jednak wyznałeś szczerze swój błąd i tem połowę złego czynu odkupiłeś. Drugą połowę odkupisz wtedy, gdy jaką mocną a niedozwoloną chętkę zwyciężysz siłą woli. Takimi zwycięstwami, siłą woli się kształci, a jest ona najpiękniejszym udziałem, danym przez Boga człowiekowi!

(d. c. n.)

NAJMŁODSZY Z MONARCHÓW.

W tych dniach odbyła się w Madrycie uroczysta koronacja młodzietkiego króla hiszpańskiego, Alfonsa XIII.

Urodził się on 17 maja 1886 r. w jasny, słoneczny dzień wiosenny; przyjście jego na świat ogłoszone zostało przy dźwięku dzwonów i wystrzałów armatnich. Według dawnego zwyczaju oczekiwali na tę chwilę zgromadzeni w pałacu wszyscy dygnitarze państwowi, a Sagasta, pierwszy minister, okazał im otulone pysznemi koronkami nowo narodzone dziecko. Ojciec jego, Alfons XII, wtedy już od pół roku nie żył; rządy więc w imieniu małoletniego syna sprawowała matka, królowa Marya Krystyna.

Papież Leon XIII przyjął zaproszenie na ojca chrzestnego; przysłał też nowonarodzonemu swoje błogosławień-

stwo i odtąd otaczał prawdziwie ojcowską opieką matkę i syna. Opieka ta potrzebną była kobiecie, na którą spadły nagle rządy dużego państwa, zwłaszcza, że w państwie tem znajdowały się stronnictwa, które pracowały nad tem, aby wydrzeć tron jej synowi.

Burbonowie bowiem, od których pochodzi dynastia dziś panująca w Hiszpanii, podzielili się na linię męską i po kądzieli, ta ostatnia posiadała tron, przeciwko czemu potomkowie męskiej wciąż protestowali, najczęściej z bronią w rękę. Nosili oni wszyscy imię Karlosa z ojca na syna, dla tego stronnictwo ich zwanem jest partyą Karlistów.

Marya Krystyna za życia męża nie mieszała się wcale do polityki; znano ją tylko jako najlepszą żonę, najtroskliwszą matkę, łagodną, uprzejmą i wysoce wykształconą panią. Strata męża nie złamała jej ducha, ale dodała jej siłę do godnego spełniania nadzwyczaj trudnych obowiązków. Oprócz zajęć, połączonych z rządzeniem państwa, pochłaniała ją zawsze troska o zdrowie i dobre wychowanie swoich dzieci, a w szczególności małego Alfonsa, przyszłego monarchę.

Zarówno w Madrycie, jak podczas letniego pobytu w San Sebastianie nad zatoką Biskajską, królowa regentka czuwała bezustannie nad wychowaniem i kształceniem młodego króla. Przy pomocy najzdolniejszych nauczycieli, rozłożono starannie czas, przeznaczony na naukę i rozrywki.

Niejednemu z czytelników „Wieczorów” może się zdawać, że życie małego króla jest ciąglem pasmem zabaw i przyjemności, otóż tak nie jest; Alfons XIII przygotowywał się starannie do objęcia tak wysokiego i odpowiedzialnego stanowiska, jakie mu od urodzenia przypadło, a do tego trzeba było niemało trudów i nauki, bo im wyżej człowiek stoi, tem więcej się odeń wymaga.

Pomimo wątłego zdrowia, młody król ćwiczył się w jeździe konnej, gimnastykował i pobierał wykształcenie wojskowe, w którym za towarzyszy przydano mu siedmiu rówieśników, synów wysokich rodzin szlacheckich; z nimi to odbywał ćwiczenia w ogrodzie, przylegającym do pałacu królewskiego.

Nauczyciele, wykładający mu rozmaite przedmioty, wyrażają się z uznaniem o jego zdolnościach i pracowitości, a zarazem o wesołym i przyjemnym charakterze. Jednakże w dzieciństwie tak niebawo, Alfons chorował kilkakrotnie, co prawdopodobnie było powodem pewnego rozkapryśnienia, które tylko matka potrafiła uspokoić.

Pewnego dnia, gdy zły humor opanował szczególnie małego króla i ochmistrzyni nie mogła sobie z nim poradzić, poproszono królowej:

— To niegodne ciebie, mój synu, król powinien umieć panować nad sobą — rzekła matka.

Od tej pory chłopczyk, ile razy gniew albo zły humor brał przewagę, zaciskał drobne piąstki, powtarzając:

— Pamiętam, jestem królem.

Ustawy hiszpańskie wymagają, by po skończeniu lat siedmiu, przyszły panujący oddany był pod opiekę męską, chociaż więc matka zachowała zawsze najwyższy kierunek nad wychowaniem, młody król jednakże dostał się pod dozór męzki. Obecnie z wątłego dziecka Alfons XIII rozwinął się w młodzieńca zdrowego i silnego; jeździ doskonale konno, strzela, a przytem zna wyśnienicie język, literaturę i historię ojczystą, również powszechną; mówi biegle kilku językami; kształcił się przytem w poważnych naukach, jak w matematyce, ekonomii politycznej, prawie i t. d. Słowem, w szesnastu latach życia, młody król posiada wy-

kształcenie, jakim niewielu nawet starszych młodzieńców poszczycić się może.

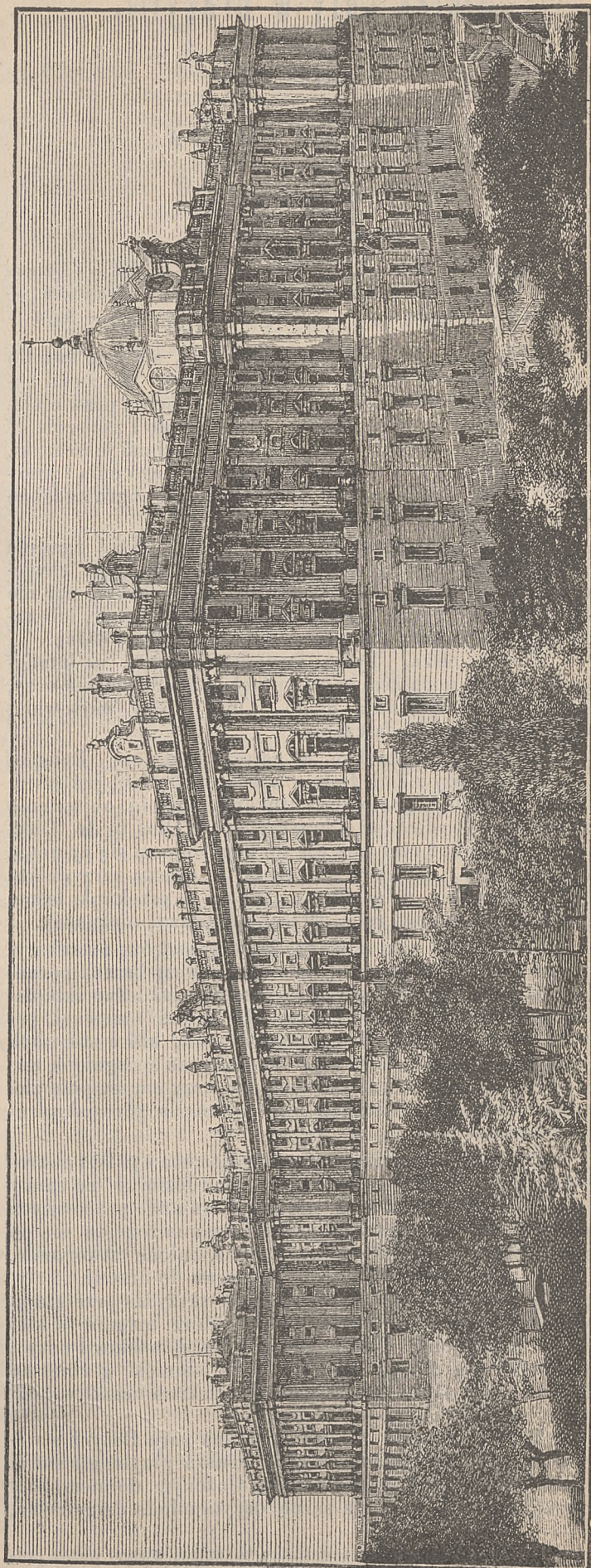
Chwile wolne od nauk spędza zwykle w towarzystwie matki i siostr, oraz ciotki swej Izabelli. W gronie rodzinnym jest prawdziwym dzieckiem, ale przy uroczystych wystąpieniach umie zachować królewską powagę. Po skończonych uroczystościach koronacyjnych, które rozpoczęły się w dniu 11 maja r. b., młody król opuszcza dotychczasowe swe skromne mieszkanie i przenosi się do pałacu królewskiego. Wedle etykiety hiszpańskiej, matka wraz z rodziną musi jednocześnie pałac opuścić; przy królu pozostaje tylko najstarsza siostra, księżniczka Asturyi, jako następczyni tronu.

Królowie hiszpańscy posiadają wspaniałe rezydencje w samym Madrycie, w Aranjez, La Grania. Groby królewskie znajdują się w Eskuryalu, słynnym pałacu i klasztorze, znajdującym się w pobliżu Madrytu. Zbudował go król Filip II w XVI w.; miało to być nowe cudo świata, tymczasem budynek jest ponury, zimny i sztywny, zupełnie jak jego założyciel. Zbudowany w kratę, na pamiątkę męczeństwa św. Wawrzyńca, który był umęczony na rozpalonej kracie. Pałac ma tyle dziedzińców, sal, przejść, korytarzy, że można w nim łatwo zbłądzić, i jest położony w niezdrowej i niepięknej okolicy, to też królowie hiszpańscy z wyjątkiem założyciela rezydencji, rzadko w tej miejscowości przebywali.

W XVI wieku, Hiszpania służyła jako państwo, w którym słońce nigdy nie zachodziło. Po ostatecznym wyzwoleniu się z pod jarzma Maurów w 1492 r. przez 150 lat była Hiszpania najpotężniejszym mocarstwem na świecie, a zawdzięczała to odkryciu Ameryki i obfitym w złoto i rozmaite bogactwa koloniom. W tymże czasie przodowała na polu literatury, sztuki i nauki. Powoli jednak ta potęga zmalała, wszystkie posiadłości na stałym lądzie Ameryki odpadły na początku zeszłego wieku, ostatnie resztki ich (Kubę i Portorico) utraciła Hiszpania przed kilku laty, w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi. Przytem częste zaburzenia wewnętrzne podkopały znacznie jej byt; dziś jest krajem ubogim i źle zagospodarowanym, ponieważ mieszkańcy nie przyzwyczajeni do trudów i wysiłków, rozleniwili i nie umieli zastąpić bogactw kolonialnych, usilną i rozumną pracą, przez którą rozwinięszy należycie rolnictwo, przemysł i handel, podnieśliby wydajność żywnego swego kraju, wprowadzili ład i wzajemną zgodę wśród wszystkich klas ludności wrócili krajowi choć część jej dawnej świetności.

Koronacja młodego króla odbyła się nader okazale, a najwspanialszą częścią uroczystości był pochód z zamku królewskiego do pałacu kongresu a następnie do katedry. Trzeba bowiem wiedzieć, że żaden dwór nie posiada tak wiele, tak cennych, tak wspaniałych powozów, jak madrycki. Boki ich pokrywają malowidła Rubensa i innych mistrzów wraz z kosztownie cyzelowanymi okuciami, wykładane są perłową masą i najrzadszemi rodzajami drzewa.

Sznur powozów dworskich, zaprzężonych w 6 i 4 konie, prowadzonych przez służbę w starożytnego kroju, kapiących od złota liberyach i poprzedzany przez halabardzistów i gwardyę, przedstawiał widok nadzwyczajnie malowniczy i ciekawy. Uroczystości trwały cały tydzień, a nie obeszły się niestety bez krwawej jak zwykle walki byków.



Pałac królewski w Madrycie.



Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

CZĘŚĆ CZWARTA.

W puszczy.

Rozdział XV.

Puszcza. — Poranek. — Dios te de. — Wąż. — Dziewczyna z sarną. — Niebezpieczeństwo. — Strzał. — Ucieczka. — Szalas. — Ponury sęp. — Niech giną białe twarze! — Suya.

Była noc. Po niebie płynął księżyc, ale jego światło nie dostawało się pod gęste podszycie lasu. Na ziemi porosłej bogatą roślinnością panowała zupełna prawie ciemność. Obco tu było, straszno, choć ciepło i zacisznie.

Czasem rozchyliła się trawa pod piersiami jaszczurki, czasem wąż jadowity wypełzał z za zwalonego pnia i przerzucił tłuste kręgi cielska po przez gałęzi, nagromadzone u podnóża cedru.

Gdzie i po co przetaczał się potwór? Któż zgadnie On królem wilgotnej głuszy. Podnosi łeb do góry, chwile nim w tę i w ową stronę, jakby nadśluchiwał, czy nie wdarł się do jego państwa zuchwały rabuś jaguar, lub zuchwalszy od jaguara człowiek. Słucha i pełźnie dalej.

Znowu cisza. Tylko strumień szmerze po kamieniach, czapla, nocująca w szuwarach, otwiera leniwie oczy, prostuje nogi, nastawia dziób. Ona, czujny wartownik, budzi wrzaskiem stada czajek.

Budzi się i ptactwo w gałęziach drzew. Dzieciół ogłasza pierwszy ziemi, że tam wysoko różowi się już dzień. Odzew dziecięcia pochwyliły tukany, wielbią objawienie się słońca. Predicador ¹⁾ krzyczy co sił: Dios te de, Dios, te de, choć nikt nie wie do kogo odnosi się życzenie „Daj ci Boże”. Kolibry głuptaski, trzepoczą skrzydełkami jak swawolne dzieciaki, a papugi, te przekupki leśne, kłócą się, od samego rana, wrzask podnosząc nieznośny.

Tymczasem pod zieloną kopułą cedrów, araukaryi i sosen prześwieca coraz wyraźniej pierwszy brzask poranku. Słońce, potężny pan dnia, przebiło już leśne sklepienie, teraz budzi do życia naturę. Dziki kot ²⁾ ziewnął, poruszył wąsami i skoczył na gałąź drzewa, które stoi obok strumienia. Mądry kot! Pewnie czeka, aż spragniona wody zwierzyzna przybiegnie do rzeki, bo oczy mu się palą zielonemi ognikami. Spiczaste uszy wytknął w górę jak pirożki i słucha...

Poruszyły się krzewy, rosa otrząśnięta z gałęzi pokropiła ziemię. Może wydra spieszy nad jeziorko po ranny połów? Może mrówkojad zwietrzył gniazdo pracowitych robotnic i chce je zgarnąć językiem, zanim rozejdą się po lesie. Nie, to biegnie jakieś zwinne, młode stworzenie. Cipo ³⁾ przerzuca zwoje liści od drzewa do drzewa i kołysze się w powietrzu. Musnęła lianę skrzydło przelatującego ptaka a może dotknęło zwierzę, które biegnie w kierunku strumienia. Ocelot jeszcze wyżej nastawił uszy... Rozchyliły się gałęzie krzewów, kot podniósł grzbiet do skoku; ale spłoszony niezwykłym zjawiskiem uciekł w głąb lasu.

Bo też istotnie niezwykle piękna para Bożych stworzeń stanęła nad strumieniem. Pierwsza przybiegła sarna z mądrymi, czarnymi oczyma i wydłużonym do pieszczoty pyszczkiem. W trop za sarną dążyła młoda dziewczyna,

dziecko nieledwie. Ciemno-bronzowa skóra czyniła ją podobną do towarzyski. Z pod przyciętych nad czołem włosów patrzyły czarne i mądre oczy. Za całe ubranie miała tylko lekką białą spódniczkę. Piersi i szyję owinęła kwitnącymi powojami, a dwie gałązki kwitnących fuksyi zatknęła za uszy.

Sarna wyciągnęła szyję, na której wisiała kołatka wyrobiona z łupiny orzecha, musnęła czerwonym językiem wodę, próbując czy świeża. Piła ją z takim wdziękiem z jakim małe dziewczynki piją słodkie mleczko.

Ciemno brunatna jej towarzyska przyklekła tymczasem na ziemi, chciała także dostać wody ze źródła, ale nie miała długiej szyi jak zwierzę, musiały więc radzić sobie inaczej. Zerwała trzcinę, ułamała ją poniżej kolanka i czerpała tym kubkiem napój ze strumienia. Pijąc, patrzyła na sarnę, przekomarzając się, że prędzej i lepiej radzić sobie umie w potrzebie.

Otrząsnęły się obie po chłodnym śniadaniu, dziewczyna sięgnęła do białych malin, rosnących na krzakach. Obrywała owoce i podawała je sarnie. Zwierzę musiało być bardzo łaskawe, bo jadło z dłoni i trącało łebkiem towarzyszkę, ile razy ta wspaniała maliny do własnych ust. Indyanka, śmiała się pokazując dwa rzędy białych jak perły zębów, biegała od krzaka do krzaka i pobudzała sarnę do coraz zabawniejszych skoków.

Nic nie mąciło wesołości swawolnic, kiedy nagle poruszyły się trawy. Sarna usłyszała pierwsza szmer. Jak wprzód ocelot, tak teraz ona wydłużyła niespokojnie uszy. Dziewczyna przestała rwać maliny, ją także ogarnął strach. Chciała dojrzeć z kąd grozi niebezpieczeństwo, skoczyła na omszałą kłodę, wyteżyła wzrok w kierunku wielkiego cedru. Czarne oczy sarny i czarne oczy Indyanki świeciły jednakowym blaskiem.

Obie stały nieruchome, niepokój przykuł je do miejsca. Patrzyły na korzenie cedru, przewijające się po ziemi. Stamtąd dochodził chrzęst i szelest. Nagle ożyła jedna odrośl pnia, ten sam wąż, który o świetle obchodził swoje państwo, wyciągnął się teraz z pod skrętów drzewa. Zdziwiony najściem człowieka, podniósł łeb.

— Jararaka! — krzyknęła Indyanka, ale nie ruszała się z miejsca. Potwór rozwijał tymczasem grube fałdy cielska. Wydłużył je w górę i przeciął powietrze prostą, ciemną linią. Oslizgła skóra węża połyskiwała migotliwym światłem. Otworzył paszczę, wyteżył wzrok i zdawał się wahać w wyborze między Indyanką a sarną. Długi, widłowaty język drżał niecierpliwie, ale zimne oczy gada miały wyraz ospałego znużenia.

— Dios te de! wrzasał predicador uciekając w głąb lasu.

Potwór schylił głowę i zabierał się do skoku. Wtem padł strzał. Pierwszy strzał w tej części przedwiekowego boru. Wąż zwał się na ziemię. Tłuste pierścienie cielska drgały chwilę i legły bez ruchu, podobne znów do skręconych korzeni cedru, z pomiędzy których wypełzły niedawno.

Gad był dotąd panem głuszy. Któż śmiał odebrać mu jego państwo?

Któż jeśli nie człowiek. Alboż nie on właśnie jest królem stworzenia? On tylko potrafi patrzeć tak dumnie, jak patrzył w tej chwili młody strzelec oparty na fuzyi? Lnianie jego włosy świeciły w blaskach słońca, uśmiech zadowolenia igrał na ustach ocienionych wysypującym się wąsem. Pierwszy raz w życiu odniósł tak wielkie zwycięstwo.

Indyance wydał się nadziemszym zjawiskiem. W jej plemieniu nie było jasnowłosych, jasnego lica bohaterów.

— Ciska pioruny! pomyślała i przejął ją strach w obec mocy tego człowieka.

Sarna tuliła śliczną główkę do kolan swej pani. Drżały obie, dziewczyna otrząsnęła się jednak pierwsza z wrażenia. Pomknęły w głąb puszczy, tak szybko, że myśliwy odróżniał z trudnością jedną od drugiej. Podniósł strzaskany łeb gadu i podziwiał trafność własnego strzału.

¹⁾ Predicador, ptak z gatunku tukanów, zwany przez polskich kolonistów kaznodzieją, woła „Daj ci Boże,” jak nasza przepiórka „Pójdźcie żać.”

²⁾ Ocelot. ³⁾ Liana.

Udało się wypadkiem — mruknął — idąc w stronę strumienia. O zabranii węża nie mogło być mowy. Sępy i mrówki uprzętną jararakę.

Indyanka stała tympczasem na tej samej górze, z której zbiegł strzelec. Ciekawość przemogła strach, chciała zobaczyć raz jeszcze białą twarz, która rzuca pioruny. Napróżno śsarna trącała ją łebkiem i przypominała pani, że czas wracać do domu.

(d. c. n.)

POGADANKA NAUKOWA.

Wulkany.

Wszyscy są jeszcze pod wrażeniem strasznego wybuchu wulkanu Mt. Pelée na Martynice, który zniszczył miasto St. Pierre i pozbawił życia 30,000 jego mieszkańców. Po tym wybuchu nastąpiły inne na sąsiednich wyspach z tej samej grupy Małych Antyllów, które też nie obeszły się bez strat i ofiar.

Pisaliśmy o tej katastrofie w zeszłym numerze a teraz sądzimy, że będzie to najważniejsza pora wyjaśnić w krótkości czytelnikom „Wieczorów” jak współcześni geologowie t. j. uczeni, zajmujący się badaniem składowych części ziemi, na podstawie

swych badań i ogólnych praw fizyki tłómaczą przyczyny tych wybuchów i powstawanie wulkanów.

Otóż trzeba wam wiedzieć, że postępując od powierzchni ziemi w głąb, znajdujemy w miarę pogłębienia coraz większe ciepło. Podwyższenie temperatury wynosi mniej więcej 1° Celsjusza na 30 metrów. Prosty więc rachunek wykazuje z łatwością, że na głębokości jakich 8-9 wiorst panować musi tak wielkie gorąco, że w niem topnieje nietylko piasek, i kamienie ale wszystkie najoporniejsze na wpływ ciepła metale.

Zdawałoby się zatem, że masa ziemna w tej głębokości musi być cała w stanie stopionym, płynnym a nawet gazowym, i byłoby tak niezawodnie, gdyby nie ta okoliczność, że wraz z głębokością zwiększa się także ogromnie ciśnienie masy ziemnej na głębsze pokłady.

Skądinąd wiemy, że na przejście ciał ze stanu stałego (np. lód) w płynny (np. woda) i z płynnego w gazowy (np. para) wpływa nietylko wysokość temperatury lecz i ciśnienie, jakiemu owo ciało podlega. Normalnem ciśnieniem nazywamy to, któremu podlegają wszystkie przedmioty, znajdujące się na poziomie powierzchni morza od powietrza, które nad niemi się rozpościera, jest to ciśnienie *jednej atmosfery*. Woda przy takim normalnem ciśnieniu zaczyna kipiść, to jest zamieniać się w parę i gwałtownie rozszerzać przy 100° Celsjusza (80° Réaumur.) Ale na szczycie góry Mont Blanc, gdzie ciśnienie powietrza daleko mniejsze, woda zaczyna wrzeć już przy 70° C, a przeciwnie w zamkniętych kotłach, gdzie urządzone jest sztuczne większe ciśnienie, zostaje w stanie płynnym, nawet przy temperaturze daleko wyższej niż 100°. To samo stosuje się do wszelkich innych ciał, ponieważ zaś na głębokości ośmiu wiorst masa ziemna wywiera ciśnienie około 24,000 atmosfer, więc nic dziwnego, że znajdujące się tam pokłady zachowują swój stan stały pomimo ogromnego gorąca, w którym przy mniejszem ciśnieniu przeszłyby już dawno w stan płynny lub gazowy.

Ale stan taki jest bardzo niebezpieczny, bo jeżeli w skutek jakiejś okoliczności naprzykład trzęsienia ziemi,

i powstania szczeliny dążącej ku powierzchni ziemi, ciśnienie w którymś punkcie się zmniejszy, wnet w tem miejscu ciała szybko topnieją (lawa), rozszerzają się i prą gwałtownie ku górze. Następuje wybuch.

Łatwo możemy uprzytomnić sobie to zjawisko przez następujące doświadczenie. Zróbmy krążek, przylegający do wewnętrznych brzegów szklanki napełnionej wodą, z małym otworem pośrodku i położywszy go na wodzie naciskajmy w dół. Woda przez otwór wytryśnie w górę, jak fontanna, bo w tem miejscu ciśnienie będzie mniejsze niż po bokach.

Wiedząc teraz, co spowoduje wybuch lawy z wnętrza ziemi przejdźmy do wyjaśnienia powstania i istoty wulkanów.

Skutkiem powolnego stygnięcia w ciągu swego istnienia kula ziemna musiała się zmniejszać, a jej skorupa kurczyć, a od tego kurczenia się powstawały garby i wyłobienia (góra i morze) oraz pęknięcia i szczeliny. Pęknięcia tej skorupy ziemskiej różnej dochodzą głębokości. O ile dosięgły tej głębokości, w której masa ziemna zachowuje pomimo gorąca stan stały tylko w skutek wielkiego ciśnienia, o tyle z chwilą utworzenia się dostatecznej głębokości szczeliny, ciśnienie wyższych pokładów w danym punkcie było zniesione i owa masa ziemna przeszła natychmiast w stan płynny i gazowy (lawa, dym, para), i poczęła się wydobywać na powierzchnię. Powstał wulkan.

Wulkan zatem jest to szczelina, sięgająca do głębin ziemi, posiadających bardzo wysoką temperaturę. Góra jest zjawiskiem następnem, które powstało, jako nasyp z materjału, wyrzuconego z wnętrza ziemi.

Wulkany, jak wiemy z geografii, istnieją przy łańcuchach gór lub na skraju wielkich mórz i oceanów, bo w tych właśnie miejscach skurczenia skorupy ziemskiej najsilniej się objawiały i najłatwiej tworzyły się głębokie szczeliny.

Wulkany dzielimy na czynne i wygasłe, ale jak się okazało, nigdy nie można być zupełnie pewnym, czy dany wulkan wygasł na zawsze. Po okresie wybuchów, który może trwać bardzo długo, następuje zwykle okres spokoju. Albo całe masy lawy z najbliższego sąsiedztwa wyrzucone zostały na powierzchnię, albo stygnąca lava zatkała szczelinę i wulkan wybuchać przestaje. Czasem zdradza swe życie wybuchami pary przez krater (otwór) gazów lub źródeł gorących, czasem pozornie zamiera na długo. Tak na przykład w kraterze Wezuwiusza przed wybuchem w 79 roku, który zasypał Herkulanum i Pompeje, istniały winnice, a w kraterze Mt. Pelée od lat 50 jezioro.

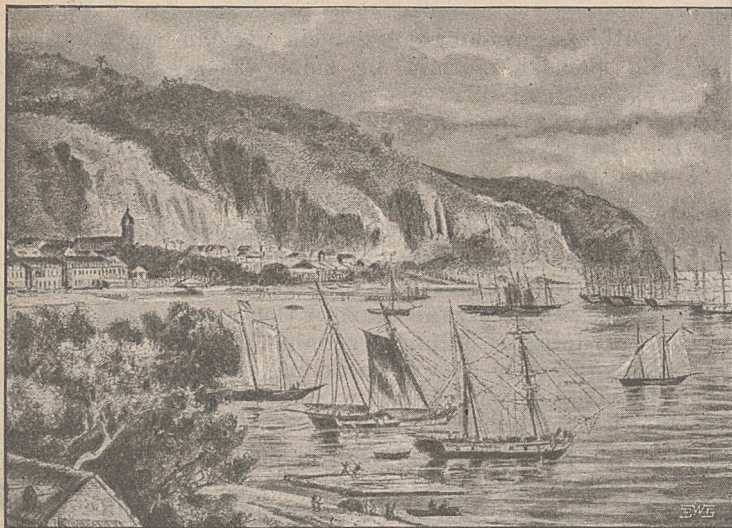
Wybuch wulkanu jest najwspanialszem a zarazem i najbardziej przerażającym zjawiskiem w przyrodzie. Zwyczaj przechodzi kilka faz; najprzód nad kraterem tworzy się wielki obłok z par i gazów, świecących w nocy odbiciem rozżarzonej, na dnie lawy, potem następuje wybuch bomb wulkanicznych, to jest wielkich strzępów lawy i popiołów, wreszcie brzeg krateru lub bocznych jego szczelin przelewać się zaczyna lava, posuwająca się z rozmaitą szybkością, jak ogniste strumienie. Prawdopodobnie ten sam przebieg wybuchu był i na Martynice, tylko że te fazy nastąpiły natychmiast jedna po drugiej, z nadzwyczajną siłą i obfitością, tak, że mieszkańcy miasta St. Pierre nie mieli wprost czasu uciekać z walących się i pływających domów; poginęli, zaduszeni i zasypani popiołami i lawą, tam gdzie się w owej chwili znajdowali. Stwierdzają to nieliczni pozostali świadkowie straszliwej katastrofy.

Obecnie zajmują się paleniem zwłok, dla uniknięcia ich rozkładu. Wszystkie domy zburzone i nawpół obrócone w perzynę, gruba warstwa szarego popiołu pokrywa wszystko, a na tle szarej mgły wulkan Mt. Pelée wciąż jeszcze miota ogniste języki.

Podług najnowszych obliczeń jest na kuli ziemskiej 672 wulkanów, z których 272 czynnych. Rozmiary ich rozmaite, a wysokość czynnych zmienia się ustawicznie. Do najwyższych należą Sahama (7015m.) i Chimboraso (6310 m.) w Andach, do najniższych czynnych Kosima w Japonii (225 m.) i Mandana na wyspie Santa-Cruz (65 m.)

Tak samo rozmaite są rozmiary kraterów. Krater Wezuwiusza ma $\frac{3}{4}$ wiorsty średnicy, a krater wulkanu Mouna-Loa na wyspie Hawaj, zwany Kilanea, jedyny w którym ciągle kipi lava, ma 16 wiorst średnicy, zajmuje więc przestrzeń daleko większą niż Warszawa z Pragą. Wybuch tego wulkanu w r. 1866 trwał bez przerwy 10 miesięcy.

Najstraszniejsze wybuchy pod względem liczby ofiar były następujące: Wezuwiusza w 79 r. i 18 grudnia 1631 r., Krakatoa — (na jednej z wysp Malajskich) — 25 sierpnia 1883 roku którą wtedy już opisały „Wieczory,” i wreszcie Mt. Pélée na Martynice 8 maja 1902.



Port St. Pierre i miasto przea katastrofą

ZAGADKA GŁOSKOWA.

Od Jaskółki dla Śnieżycy.

Taka już moja natura,
 Że ni dolina ni góra
 Beze mnie się nie obejdzie,
 Wcisnę się wszędzie.
 Ha, wszędzie! mówić nie sztuka,
 Ale darmo mnie kto szuka,
 Czy to w angielskiej stolicy,
 Czy na wyiosłej iglicy,
 Którą himalajskie góry
 Najwyżej ślą ponad chmury;
 Czy nad Spreą, gdzie ponury
 Krzyżak wznosił stolicy mury.
 Czy to w tym prastarym grodzie
 Co w Tybru kąpie się wozdnie,
 A wychowańca wilczycy

Jest dziełem. Lecz któż to zliczy,
 Gdzie mnie braknie, jestem przecie
 W niejednym miejscu na świecie.
 Jam w stolicy nad Sekwaną
 I we Francyi całej znana;
 W starym grodzie Mieczysława,
 Gdzie Chrobrego rosła sława,
 Mnie nie było, lecz się jawię,
 I w Krakowie i w Warszawie.
 Choć Popiel nie ma mię wcale,
 Wreszcie i miła Śnieżycy
 Swą przyjaźnią mię zaszczyca.

KWADRAT MAGICZNY.

ul. Smok Wawelski.

a	a	a	a	Miasto w Kanadzie.
b	b	k	k	Rzeka na Syberyi.
l	m	r	r	Wyspa na Atlantyku.
u	u	u	u	Rzeka wpad. do m. Kaspjijskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20.

Szarady: Po — ko — ra.

Arytmogryfu:

- 1) Wierzbęta. 2) Sól. 3) Zofia. 4) Edynburg. 5) Dyana.
- 6) Złoty. 7) Ilnicka. 8) Ecuador. 9) Dyogenes. 10) Obelisk. 11) Bard.
- 12) Rej. 13) Zanzibar. 14) Edmund. 15) Wiesław. 16) Demostenes.
- 17) Oziris. 18) Morze. 19) Urszulka. 20) Nemrod. 21) Ameryka.
- 22) Jassyr. 23) Lalka. 24) Elegia. 25) Portyk. 26) Irene.
- 27) Ezop. 28) Janina.

Wszędzie dobrze, w domu najlepiej.

OGŁOSZENIA.

NOWY WYNALEZEK.

Patentowane amerykańskie maszyny do pisania

dla dzieci w cenie

rub. 2 i rub. 3 za sztukę.

Sprzedaż u H. Łaski & w Warszawie

HOŹA 46.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna
 Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Bzy, wiersz przez Władysława Karolego (z ryc.) — Na Bielanych, przez Z. Morawską (dokończenie) (z ryc.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Najmłodszy z monarchów (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Pogadanka naukowa (z ryc.) — Łamigłównki i rozwiązania. Dodatek: Na niwie, wiersz przez Irenę Mrozowicką (z ryc.) — Jułek i Staś przez Z. K. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Juli Piasecką. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadani z pierwszej połowy XVIII wieku, przez Annę Zielińską.

Na niwie.



Co z zieleni, z blasków słońca
Ma szaty?...
Wszystko twoje, oj sieroce
Ty dziecię,
Chociaż myślisz, że nic nie masz
Na świecie:
I baranki, które pasiesz,
Na niwie,
Niby „ludzkie” przecie twoje
Prawdziwie!
Możesz kochać je, bawieć
Się niemi —
Czyliż nie dość masz skarbów
Na ziemi?
A i serce wszak znajdziesz
Wśród ludzi,
W których widok twój miłość
Obudzi,
Więc obetrzyj zapłakane
Oczęta,
Pan Bóg w niebie o sierotach
Pamięta.

Irena Mrozowicka.

Julek i Staś.

A czyż to kwia-
[tuszki
Na łące,
Takie białe, jako
[śniegi
Iskrzące?
A czyż to pta-
[szęta
Po lesie,
Których śpiewy aż
[tużaj
Wiatr niesie?
Czyja woda w kry-
[ształowym
Tam zdroju,
Co ochładza tak
[czoło
Wśród znoju?
Czyj świat cały, ta-
[ki cudny
Bogaty,

Był piękny, ciepły dzień, Julek wybiegł do swego ogródka. Chciał właśnie skopać ziemię na grządce, gdy przez parkan zobaczył Stasia, syna stolarza, którego warsztat był w rogu podwórka. Staś oparł twarz na sztachetach i przyglądał się pięknej łopacie i taczkom Julka.

— Stasiu, chodź, pomóż mi kopać moją grządkę, posadzę na niej groch i trochę kwiatów.

Stasiowi nie trzeba było dwa razy tego powtarzać. Z radością wbiegł do ogródka, gdzie drzewa i krzaki były już w pąkach i gdzie było daleko ładniej i milej niż na podwórzu. Na maleńkim wzgórkcu stała ławeczka, a w kącie ogródka altana.

— To ta cała duża grzęda jest twoja? Spytał z pełną zazdrością Staś.

— Tak, podzielę ją na maleńkie grządki i w każdej będzie coś innego. Ale muszę o tem pamiętać i podlewać codziennie.

— Jak to przyjemnie. A może jabym mógł ci czasem polewać? — spytał Staś nieśmiało.

— E nie, ja wolę sam — rzekł Julek. Staś zrobił smutną minę.

— To już wiesz, co wolę; oddam ci połowę mojej grzędy i ty sam sobie będziesz na niej sadił i polewał ją.

— Co? naprawdę? — pytał Staś z niedowierzaniem.

— Tak. I wiesz co zrobimy? Ogrodzimy malutkim płotkiem twoją i moją grzędę. Ale skąd wziąć takich ładnych patyczków?

— O, u nas w warsztacie jest drzewo, poproszę ojca, to mi da kawałek i zrobię śliczne patyczki — wołał Staś uradowany. — Chcesz, to pójde zaraz.

— Nie, to później, teraz skopmy ziemię.

I zabrali się wesolo do roboty.

— Chciałbym, żeby nasze grządki były takie ładne, jak u mojej cioci na wsi. My tam w lecie pojedziemy.

— Na wiesz? — spytał Staś.

— Tak. Bardzo lubię być u cioci. Jest tam i śliczny las i ogród i rzeka.

Staś posmutniał znowu.

— I pole? — pytał — i zboże i bławatki? Czy pole to jest bardzo duże?



- Jakto, nie widziałeś? — zdziwił się Julek.
 — Nie — odpowiedział Staś.
 — Nigdy?
 — Nigdy — szepnęła Staś zawstydzony.
 — Nie byłeś na wsi?
 — Nie, nie byłem, tylko dwa razy na Saskiej Kępie.

Ale słyszałem, jak Mania, moja siostra, czytała o polu, o zbożu...

Julek stał zdumiony. On co rok wyjeżdżał na wieś do cioci, biegał po łąkach, polach, rwał kwiaty, kąpał się ze starszym bratem w rzece i nigdy, nigdy na myśl mu nie przyszło, iż są dzieci, co nie widziały nigdy pola, lasu, łąki...

Żal ścisnął jego małe serduszko.

Stasiek stał zadumany czegoś i smutny.

— A chciałbyś być na wsi? — spytał cicho Julek.

— I jak. Ale nie będę. Chyba jak urosnę duży.

O, wtedy pójdę do lasów, do gór...

Julek spojrział na Stacha i nagle jak strzała pobiegł do mamy.

Co powiedział mamie, i jak ją prosił, nie wiem, ale po krótkiej chwili wrócił pędem do Stasia, który kopał ziemię.

— Stachu, Stachu — wołał — będziesz na wsi, pojedziesz z nami.

Staś stanął i otworzył usta ze zdziwienia.

— Jakto? ja?...

— Tak, ty pojedziesz z nami do cioci, mama cię weźmie. To przecie długo czekać — szepnęła jakby ze smutkiem — jeszcze dwa miesiące... Ale wtedy będzie ładnie, zielono. Tam są i żaby, i chrząszcze i krowy, i psy...

— I pola i bławatki — szepnęła Staś. — I ja to wszystko zobaczę, wszystko? — pytał Staś ze łzami w oczach.

— Wszystko, i będziesz grzyby zbierał i bławatki zrywał i po lesie biegał.

W małych sercach Julka i Stasia była wielka, wielka radość...

Z. K.

Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

VII. Trytony.

Ze szkoły wracam o godzinie 3-ej, a obiad jadamy o 6-ej, więc mam trzy godziny na spacer i zabawy.

Dziś dostałem od mamy pieniądze na tramway, więc w kwadrans będę na miejscu byleby mój stary stawił się, myślę sobie.

Nadzieja nie zawiodła: zobaczyłem go z daleka, machał na mnie ręką.

— Dzień dobry, dziadku — wołam — więc idziemy do Wierzbna? mamusia mi pozwoliła.

— Idziemy, idziemy — odrzeczł dziadek.

Poszliśmy.

— Dziadku, dlaczego zawsze cię w jednym miejscu, tu nad stawem spotykam? — pytam w drodze.

— Dlaczego? bo tu spokojnie i miło: drzewa dokoła, trawa, woda, słońce; nikt mnie tu nie potrąci, nikt złego słowa nie powie... Z rana chodzę po prośbie, a gdy chcę usiąść gdzie na schodach, posilić się, to mię stróż wygania: „to nie miejsce dla żebraków,” powiada. Na ulicy nie ma gdzie siedzieć, więc rad jestem, że nad stawem spokojnie odpocząć mogę. Gorzej, gdy zimno.

Czasem biedni ludzie pozwolą gdzie w kącie spocząć, ogrzać się, ale u zamożniejszych najczęściej powiadają, że miejsca niema.



Tryton.

Tak rozmawiając, doszliśmy do Wierzbna.

Poszukiwania nasze były skuteczne: niedługo zobaczyłem w wodzie prześlicznego trytona, który wiosłował ogonem, poruszał na prawo i na lewo, posuwając się prędko naprzód.

Na brzegu leniwie wygrzewał się drugi tryton o błoniastym grzebieniu na plecach; to był samiec. Gdy jednak spostrzegł dżdżownicę (glistę), zerwał się z miejsca i niezgrabnie przebierając na krzyż nogami, wolno postępował naprzód.

Tymczasem tryton, który pływał w wodzie, wystawał od czasu do czasu łeb do góry, widocznie nabierał powietrza, którym oddychał i szybko znowu plusnął do wody, uwijając się za drobnymi zwierzątkami.

Trochę dalej, w płytkiej wodzie spostrzegliśmy małe trytony.

Opowiadał mi dziadek, że trytony wylęgają się z jajek. Małe trytony przechodzą takie same przeobrażenia, jak żaby, z tą tylko różnicą, że im odrastają pierwsi nogi przednie, nie tylne, jak to bywa u kijanek, i że ogon pozostaje im nawet wtedy, gdy dorosną.

Żałuję mocno, że nie wziął słoja z sobą, mógłbym zabrać do mego akwaryum tych parę trytonów.

Trzeba było jednak wracać. Po drodze opowiadałem dziadkowi, że mam zamiar chować niektóre stworzenia w domu, opowiadałem o kolegach, o różnych figlach szkolnych...

— A byłbym zapomniał powiedzieć wam, dziadku, że mówiłem mamie o mojem wczorajszym wydarzeniu z pływakiem. Mamusia kazała wam podziękować, że mię ratowaliście i przysłała wam czterdziestówkę.

— Podziękuj mamie bardzo grzecznie — powiada staruszek — i powiedz, że za jej dobre serce modlić się będę, ale pieniędzy tych nie przyjmę, bom ci dopomógł nie dla zarobku, tylko dla tego, że potrzebowałeś pomocy, a że ci ulgę przyniosłem — to była moja zapłata.

Przykro mi się czegoś zrobiło, ale nalegać nie śmiałem, czułem, że dziadek jest bardzo poczciwy, i że go bardzo polubiłem. Na pożegnanie uściśnięłem jego rękę, podziękowałem za wszystko i wróciłem do domu, myśląc, jak mi jednak jest dobrze na świecie.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg)

II.

Następny ranek nie był pomyślny. Wojtaszek mając w myśli opowiadanie podróżnego o wielkich szkołach, gdzie dzieci uczą darmo nietylko pisać i czytać, ale i grać na skrzypkach, co chwila wybiegał na drogę, czy nie ujrzy powracającego panicza, a tymczasem pozostawione dzieci w chacie na dobre się rozgospodarowały. Nie obeszło się bez szkody.

Z pięknych garnuszków pozostały skorupy, kot wypił mleko, Marcysia ugryzła kawał sera przeznaczonego na sprzedaż.

Panicz nie przyszedł, lecz powrócili Łukaszowie! — Biedny Wojtaszek odbierając karę z rąk rozgniewanej stryjenki, rozumiał, jak bardzo zawinił, to się też nie tłumaczył i nie bronił, tylko serdecznie zapłakał, gdy stryjenka przypisując winę skrzypkom, na których chłopak grywał bez upamiętania, rzuciła je na ziemię, połamała a potem spaliła!

— Teraz już nareszcie będzie spokój — zakończyła, zadowolona ze swego wielkiego czynu, — chłopak tylko czas marnował i nic więcej, takie granie nikomu na nic nie przydatne!

Smutny poszedł nazajutrz chłopiec w pole z bydłem, ale już nie śpiewał i nie skakał. Położył się na trawie i łzawymi oczami patrzył w niebo! Nie miał już swoich skrzypków, swojej pociechy!

— Wojtaszku, śpisz? — zapytał ktoś, tuż nad uchem chłopca.

Nie ruszył się.

— Wojtaszku — powtórzono pytanie.

— Kto to?

— Ja, podróżny, czyś o mnie już zapomniał? Wstań i chodź, pokażesz mi ten piękny widok namalowany przez Boga.

— Ach prawda, obiecałem!

Podniósł się ociężale.

— Co to, czyś chory? — zapytał panicz.

— Nie, tylko mnie stryjenka obita, i... i... spaliła moje skrzypki.

— Za co?

— Zrobiło się dużo szkody, Marcysia stłukła garnuszki, kot wypił mleko, Wiktunia zjadła ser, a co najważniejsza, ja zamazałem ściany!

— To w chacie bili Wojtaszka — pomyślał młody artysta — biedne dziecko! — uczyć mu się nie pozwolą i jeszcze ścian bielonych żałują!

Wojtaszek pędził przed sobą krowy, panicz szedł obok niego i ciągle coś zagadywał. Gdy doszli do wskazanego miejsca, zmęczeni usiedli na trawie! Młodzieniec patrzył przed siebie.

— Jak tu cudnie! Istotnie, tylko Bóg mógł stworzyć taki piękny zakątek.

Szybko, jakby się bał, aby mu kto nie zakrył tego ślicznego widoku, ustawił stalugi, rozłożył na nich płótno i z zapalem zabrał się do pracy.

Wojtaszek patrzył na wszystko zdumiony!

Zapomniał o bólu, a choć artysta zajęty pracą, zdał się go wcale nie widzieć, siadł tuż obok niego bliźniutko i śledził każde poruszenie.

Obaj nie wiedzieli jak to długo trwało, pierwszy przemówił panicz, z zadowoleniem przyglądając się rysunkowi.

— No cóż, Wojtaszku, chciałbyś tak rysować jak ja?

— Ej nie, wolałbym czytać i pisać litery i numera, a najwięcej tobym wolał grać na skrzypkach.

— Tak, no to masz tymczasem ołówek i papier, jutro w miasteczku kupię ci elementarz i pokażę litery, a jak za rok znów tu przyjadę, wezmę cię z sobą do miasta i wszystkiego uczyć każę. Tymczasem zabierz stalugi, krzesło, parasol i chodź ze mną, tekę ja sam wezmę.

Wracali do wsi. Młody artysta marząc o sławie, pogwizdywał wesoło, a u Wojtaszka serce skakało z radości.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

p. Prymusa.

Ni z żelaza, ni ze stali
Lecz najczęściej z gliny,
Byłam też nazwiskiem
Królewskie; rodziny.

Łamigłówka jednosylabowa.

Od Żabki z nad Bohu dla Żuka.

- | | | |
|------|---|---|
| • 1 | • | Ułożyć 13 wyrazów trzygłoskowych, aby |
| • 2 | • | środkowe litery oznaczone liczbami, złożyły |
| • 3 | • | pseudonym współczesnej autorki wielu po- |
| • 4 | • | wieści dla młodzieży. |
| • 5 | • | Znaczenie wyrazów: |
| • 6 | • | 1) Zaimek pytający. 2) Zwierzę drapieżne. |
| • 7 | • | 3) Odlam lodu. 4) Kwiat wiosenny. 5) Owad |
| • 8 | • | z oddziału żądłowatych. 6) Miasto w gub. |
| • 9 | • | Podol. 7) Czasownik w cz. przyszłym w 3-iej |
| • 10 | • | osobie liczb pojed. 8) Jmię Apostoła. 9) Rod- |
| • 11 | • | zaj poezyi. 10) Liczebnik. 11) Czasownik |
| • 12 | • | w tr. bezokol. 12) Dowódzca turecki. 13) |
| • 13 | • | Przysłówek. |

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

Metagramu: Ból, sól, mól.

Z a k o p a n e
A b r a h a m
K a n d y a
O r z e ł
P a r a
A c h
N a
E

Kwadratu magicznego:

11	25	24	14
22	16	17	19
18	20	21	15
23	13	12	26

Skrzynka do listów.



X. X. „Kowalstwo” nie jest powiastką, raczej krótkim opowiadaniem, o tem, jak Janek rozpoczął praktykę w kuźni, napisaniem jakby ćwiczenie na zadany temat. Styl, za wyjątkiem kilku błędnych zwrotów, poprawny, ale nieco suchy. Nie trzeba się jednak zniechęcać do dalszego probowania swoich sił, byle nie kosztem czasu przeznaczanego na zajęcia obowiązkowe. Dalsze próby w tym kierunku proszę nam przysyłać, chętnie je odczytywać będziemy.

Pani M. Ł. w Winney. Ładny numer posyłamy.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Pensyonarka, Albert, Prymus, Aluś K., Górka Pasterka, Rycerz, Żelazne Serce, Biała Róża, z pod N. Radomska, Janek Ciekawy, Czarny Sęp, Konwalijka z S., Podol. ze Skotynian.

Ofiarę **Luni Skawińs.**, na kolonie letnie złożyłam w redakcyi.

Czarnemu Sępowi. Tak ci się więc podobały zielone ilustracje, w „Wieczorach” bardzo nas to cieszy, i może te próby redakcyi będzie powtarzała czasami, w innych kolorach. W przyszłym liście czekam dopisku *Akseny*, jeżeli już wkrótce pojedziecie na wieś, to życzę wam wesołego i przyjemnego pobytu, a przy zdarzonej okazji na pocztę przypomnijcie sobie „Skrzynkę do listów” i przyjazną wam Jaskółkę.

Jeżeli chcesz zamieniać karty pocztowe z naszymi czytelnikami **Konwalijko z S.** to przyslij nazwisko, adres i zezwolenie rodziców, lub kogoś ze starszych, a ogłosimy twe życzenie w „Wieczorach”.

Mewie z nad Gopła. Otrzymałszy twą kartkę, domyśliłam się odrazu, że musiało zajść jakieś nieporozumienie, które też list twój wyjaśnił. Rozumiem dobrze, że każde z was chciałoby mieć prędko odpowiedź, ale nie zapominajcie, że ta odpowiedź cały tydzień leży w drukarni, zanim wyjdzie w numerze, a potem jeszcze parę dni upłynie zanim wam poczta ten numer dostarczy.

Z prawdziwym zajęciem czytałam opis strasznej przygody, kiedy tonęłaś w Gopla, wystawiam sobie jak okropnego doznałaś uczucia, gdy cię siły zaczęły opuszczać i czułaś, że chwila jeszcze, a pójdziesz na dno jeziora! Brat twój dał dowód prawdziwego męstwa i siły, spiesząc dzielnie na ratunek. Muszę cię pochwalić, że masz styl dobry i piszesz w sposób zajmujący, bądź pewna, że listy twe zawsze mile witać będą. Bez upoważnienia Łochozwiarki nie mogę wyjawiać jej nazwiska i miejsca zamieszkania.

Dziki L. z nad Świętej pragnie się dowiedzieć, która z czytelniczek pisuje pod tym samym pseudonimem, on z nad brzegów Świętej pochodzi, zachwyca się ślicznymi miejscowościami w gub. Kowieńskiej i Wileńskiej i zapytuje czy *Dzika L.* zdanie jego podziela? Około Warszawy niema tak malowniczych widoków, okolica równa i płaska. Fruwając swobodnie podczas wakacyi przelatywałam raz jeden nad waszemi stronami.

Wiosna ma swoje prawa i chętnie ustępuje jej pierwszeństwa, więc **Czarny Kruczek** nie wymawiaj sobie, żeś dawno do mnie nie pisał, bo ja rozumiem, że czas wolny od lekcyi ehce się użyć na bieganie, kopanie, sadzenie! Bawcie się, biegać, używajcie słońca i powietrza po długiej, szarej zimie, a gdy czasem słówko od was otrzymam, tem przyjemniej mi będzie, że nawet wśród uciech wiosennych nie zapomnacie waszej całorocznej przyjaciółki. Zdziś z Suchowa dzielny chłopak, godny naśladowania.

Drogiej mojej **Łochozwiarce** dziękuję za list i fiołki. Nie posądzam cię na seryo o zbytnią ciekawość, żartem tylko wspominałam o tej wadzie, którą nam niewiastom przypisują zbyt często, a nie zawsze słusznie. Dlaczego przypuszczasz, że ja nie pragnęłabym również poznać cię i zobaczyć, czy rzeczywiście *Łochozwiarka* podobna do tej, jaką sobie w wyobraźni przedstawiam. Bo z każdej ze stałych korespondentek tworzę sobie w wyobraźni pewien obraz, czy jednak te urojone obrazy bywają podobne do rzeczywistych? Od *Czarnuszki* dotychczas listu nie miałam, wystawiam sobie, że musi ci być smutno i nudno po jej wyjeździe. W tym tygodniu wyślę ci kartkę.

Pod. ze Skotynian. Ten deszcz ciągle nam psoty płata w tym roku, wiośnie nie pozwala się ustalić, a wam na majówce zniszczył ośm dodatków powieściowych i jeden numer *Wieczorów*, wstawię się za wami w redakcyi, aby zechciała tę stratę nagrodzić. Po co jednak zabierałyście z sobą *Wieczory*, czyż podczas zabawy w lesie znalazłby się czas na czytanie? Adres twój pošlę *Łochozwiarce*. Jak również pozdrowienia przesłane za moim pośrednictwem *Zbyszskowi* i wszystkim, którzy przybrali pseudonimy osób z powieści Sienkiewicza „*Krzyżacy*.” Siostrzyczkom twoim: *Różowej Kulce* z góry dziękuję za obietnicę częstego pisywania, a od *Małej Kulki* zapowiedzianego listu oczekuję.

Młodej Laszce. Zapowiadasz mi na samym wstępie naszej korespondencyi, że z tobą ma mi przybyć nowe utrapienie. Czemuż mnie trapić zamýślasz, czy równie dobrze jak ten pierwszy pisanemi listami? Jeżeli tak, to godzę się chętnie i proszę o dalszy opis *Łowicza*, którego dotąd nie znam. Widziałam ubiór włóścianek miejscowych, bardzo mi się podobał i pragnęłabym mieć kartę z takim typem.

Trzeba popracować **Perłowa Muszelko** nad pismem, stawiać litery proste i równe, a wtedy z dobrym skutkiem staniesz wraz z innymi do konkursu kaligrafii. Konkurs na roboty ręczne ogłosimy przed wakacyami. Czy arytmogryf *Jutrzenki* został przyjęty do druku, nie wiem jeszcze. Wiedz, że nic łatwiejszego, jak zostać stałą korespondentką, trzeba tylko do mnie stale pisywać.

Bolusiowi N. Z przysłanej fotografii korzystać będziemy i przy następnym liście z Ojcowa, pomieścimy ją w *Wieczorach*; za wyjaśnienie redakcyi polecila mi podziękować ci.

I bez niezapominajek nie zapomniam mego przyjaciela **Małego Tolusia**. Bardzo rozsądnie postąpiłeś, prosząc siostrzyczki, by ci kupiła ciekawą książeczkę, za rubla otrzymanego od babci. Może kiedy pojedziesz nad morze i będziesz się pluskał w falach tak wesoło, jak *Władzio*. Pytasz mnie, jakie znam morza; znam morze Śródziemne, Adryatyckie i Bałtyckie. Uściskaj ode mnie *Rybitwę* i spytaj, czemu tak dawno nie pisała? *Braciszskowi Rybitwy* pozdrowienia.

Micia prosi mnie, abym w jej imieniu pozdrowiła *Blondynkę z nad Dochny* i doniosła, że jej pseudonym bardzo się podoba. Ona zna Berszadę, ale sama nie mieszka w tamtej okolicy, zapytuje, czy nazwisko *Blondynki* nie zaczyna się od litery K., jeżeli tak, to się domyśla kto ona jest.

Biała Róża z pod Nowo-Radomska i jej siostrzyczka pozdrawiają *Wandzię* i *Janinkę Gawronskie*.

Danusi za śliczną kartę i życzenia dziękuję.

Polecam się pamięci waszej życzliwa

Jaskółka.